

Z rodzinnego albumu.

Życie

pod zaciemnieniem.



Mama z małą Elą, Zamość 1925 r.

Teresa Fabijańska-Zurawska (*Łańcut*)

Od początku okupacji zapanowały ciemności. Te z nakazu

hitlerowców i te wypływające z konsekwencji wojny. Elektrownia miejska została rozebrana na części i wywieziona, czy też na miejscu ukryta przez jej pracowników, by nie dostała się w ręce niepowołane i nie poszła na armaty. Powszechnie obowiązywało zaciemnienie wszystkich możliwych okien, źródeł światła. Wyprodukowano nawet specjalny papier w ogromnych arkuszach i zwojach na rolety czarne, grube, nie przepuszczające ani smugi światła. Pilnowała tego policja i sypano wysokie kary, a nawet groziło więzienie, tortury na Gestapo, czy śmierć. Miasto tonęło więc w kompletnych ciemnościach i naturalnie obowiązywała godzina policyjna o dwudziestej.

Siedzieliśmy w domu w Hrubieszowie przy jednej lampie naftowej wokół sześćoosobowego stołu. Każdy coś robił. Mama cerowała skarpety babci, nasze pończochy, grube i wełniane dolne niewymowne, których był deficyt. Przerabiała i łatała nasze okrycia, ponieważ szybko wyrastaliśmy i zdzieraliśmy chodząc ciągle w tym samym. Mundurki były zakazane. Wspomniałam już o koncesji na sprzedaż papierosów, którą mama otrzymała, ale *de facto* zajmował się tym Witek. On to wystawał w kolejkach do hurtowni monopolistycznej spółki HERBEWO (od początkowych liter nazwisk trzech wspólników), działającej jeszcze przed wojną. Kto nie żył w tych czasach, ten nie będzie wiedział, jaka to była ważna sprawa dla palaczy, a większość ludzi, zwłaszcza mężczyzn paliła. Nigdy nie zapomnę tej kolejki pod kioskiem, w którym była drewniana, ładnie zaprojektowana budka wielkości

małego namiotu, z dachem namiotowym zakończonym ozdobną sterczyną. W połowie ścianek były witryny zamykane z zewnątrz okiennicami. Nie było tam ani piecyka, ani miejsca do zagospodarowania. Ot, taki letni kiosk na lody używany tylko latem. Ale z tym większego problemu nie było, ponieważ papierosów otrzymywał brat minimalną ilość. Mimo to nie uniknięto reglamentacji. Rzucała się ta wygłodniała masa obszarpanych, biednych zgłodniałych nikotyny i bijąc się, rozpychając szturmem zdobywała jak najdogodniejszą pozycję, aby tylko nie utracić tych dziesięciu sztuk najmocniejszych papierosów. Drżące, zmarznięte dłonie wyciągały się i chowały gniotąc cenną zdobycz. Stawali w kolejce jeszcze, i jeszcze raz, teraz już spokojni i syci. Pogodzeni, a nawet uśmiechający się do siebie, jakby życzliwi dla całego świata. Sprzedaż ta nie zajmowała więcej niż godzinę, dwie dziennie. Zarobek wprost proporcjonalny do całego przedsięwzięcia. Nie wiem, czy wystarczył na opłacenie mieszkania, opał i naftę, tej z jakiegoś powodu czasem brakowało i wtedy zdani byliśmy na cuchnący karbid. Czy ktoś z młodych może sobie wyobrazić sześćoosobową rodzinę zmuszoną do wdychania cuchnąco - duszących spalin, małej, ledwie rozświetlającej mrok swym czerwonym, żarzącym płomykiem karbidówki ?

A przecież to wokół tej lampy naftowej, czy karbidowej skupiało się nasze życie, nasze rozmowy, czytanie, odrabianie lekcji, uczenie innych młodych (Ela dawała lekcje), przyjmowanie gości,

gry i zabawy, nasze pasje, zdobywanie wiedzy. Toczyło się normalne życie, chociaż ograniczone, zniewolone warunkami zewnętrznymi, ale wspaniałe i wzniosłe duchowo, intelektualnie, pełne inspiracji, nadziei na koniec wojny i powrót ojca. Wierzyliśmy w to głęboko i modliliśmy się gorliwie.

Uwielbiałam okresy, kiedy była z nami babcia Mania (mama mamy), bo zawsze przygotowała nam, a przede wszystkim mnie, sukienki przerabiane z maminych i Elinych, plotła mi warkoczyki (tylko ona potrafiła mi dogodzić) nie szarpiąc za włosy, wiązała kokardy, a dla wszystkich dzieci robiła przepyszne mleko makowe do kisielków i galaretek owocowych. Z babunią było radośniej spokojniej i nawet chłopcy mniej się kotłowali. Babunia cały czas coś robiła dla nas smacznego. Mama też w tych dniach wyglądała lepiej, śmiała się i opowiadała coś ze swojego dzieciństwa. Dużo ze sobą rozmawiały. A jeśli nie chciały abyśmy my – dzieci rozumiały, przechodziły nagle na język francuski.

Babuni poświęcę osobny rozdział, bo była to wielka osobowość, dama z urodzenia i w każdym calu. Wielkoduszna, wyrozumiała, ciepła i czuła, a jednocześnie zahartowana psychicznie i zaradna. W tym czasie przebywała najczęściej w Wiszniowie u Lili Banaszkiewiczowej (córki cioci Niusi Piątkowskiej, siostry mamy). Rodziły się wtedy kolejne dzieci: Maryla, Andrzej (Ijunia i Eni) oraz Zosia.

Gdy nie było babuni, podporą naszej rodziny stawała się doroślejsza Ela. Filar nie tylko psychiczny, ale i moralny. Wymagająca od młodszego rodzeństwa dyscypliny, wykonywania obowiązków i bycia w domu na czas. Bardzo nie lubiła zwłaszcza moich wybiegów do sąsiadów i to od niej miałam ksywkę „latawiec”. Nie powiem, żebym się tym przejmowała. Ciekawość życia ludzi, którzy mieszkali obok, ich obyczajów, przyznaje, trochę odmiennych od naszych, właśnie mnie pociągała. Eli zakazy i skarżenie do mamy nie pomagały. Do pokornych nie należałam.

Ela była bardzo zajęta. Uczyła się i pracowała w placówce Polskiego Czerwonego Krzyża prowadzonej przez doktora medycyny, Władysława Kuczewskiego, pełniącego również bardzo istotną dla ludności rolę lekarza powiatowego. Pod koniec wojny zabił go Ukrainiec, który udał pacjenta. Cóż to za stratę poniosło całe społeczeństwo. Wypisywał dla swego zabójcy ostatnia receptę. Zginął 28 grudnia 1943 r. Sroga zima, chłód i ziąb niepowstrzymany tłumów dorosłych i dzieci Polaków i Ukraińców w oddaniu hołdu temu wielkiemu człowiekowi, któremu tak wielu, tak wiele zawdzięczało.

Ziębnięta w moim przykrótkim paletku przerobionym jeszcze w 1939 roku z mamy płaszczka i w chuście szydełkowej, uczestniczyłam w pierwszym w życiu pogrzebie, wstrząśnięta, przejęta do szpiku kości. Nie był to zwykły pogrzeb. Ta

manifestacja patriotyczna wyrażała sprzeciw wojnie, Niemcom, zniewoleniu, bezprawnemu panowaniu się na polskiej ziemi, nienawiści wznieconej i podsycanej przez okupanta. Ale to był zaledwie początek. To co najgorsze miało dopiero nadejść.

Wojska niemieckie koncentrowały swe siły wzdłuż linii Bugu. Codziennie transporty przejeżdżały przed naszymi oknami. Zdarzało się, że zabierano nam jeden pokój z niezależnym wejściem na kwaterę dla oficera. Mama mówiła biegle po niemiecku, co było dobrze przyjmowane. Niemieccy wojskowi zachowywali się wtedy uprzejmie i załatwiali sprawę spokojnie. Mieliśmy okazję oglądać ekwipunek jednego z bardzo przystojnych oficerów, jakiegoś Ober, zapewne arystokraty, który jechał na front ciężko przestraszony, pierwszy raz. Był przerażony mrozami, chociaż puchowy, błękitny śpiwór nie powinien był go peszyć. Po południu gdzieś wyszedł, powiedział mamusi, że wróci wieczorem. Moi bracia i ich koledzy zaraz zabrali się do sprawdzania co ma w bagażu, przymierzali jego pasy z kaburami i w ogóle rozdokazywali się, jakby nie było wojny. Mama mało nie zemdląła. Błagała, żeby nie ruszali niczego, że lada chwila może wrócić, ale do moich braci te argumenty nie docierały. Żeby takich rzeczy uniknąć, mama pisała na drzwiach kartkę: „uwaga! tyfus!” i to pomagało. Przynajmniej Niemców nie musieliśmy już nocować.

Nowa wojna szykowała się ewidentnie. Żyliśmy strachem. Na szczęście istniał już kontakt z ojcem, który po wzięciu do niewoli przez Sowieców w nocy z 17 na 18 września 1939 roku w okolicach Równego, czy Dubna i po siedmiu tygodniach wożenia po terytorium Rosji (w towarowych wagonach zaplombowanych, na mokrych liściach zamiast jakiegokolwiek posłania) – odnalazł się w Stalagu, w obozie jenieckim w Saksonii, w miejscowości Oschatz między Lipskiem, a Dreznem.

Pierwsza wiadomość – kartka od ojca przyszła w styczniu 1940 r. Równocześnie chyba poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż potwierdziły tę radosną dla nas wiadomość. Ojciec żyje.

Dość regularnie kursowały listy na specjalnych, podwójnych składanych blankietach, ocenzurowane przez władze niemieckie, wojskowe. Na połowie pisał tata, na drugiej odpowiadała mama. Istniały też takie karty otwarte. Zachowało się tej naszej wspólnej korespondencji ponad tysiąc dwieście, z sześciu lat wojny, z przerwami, gdyż poczta zamierała. O tym chciałabym bardziej szczegółowo napisać przy okazji powrotu ojca z niewoli.

Mama posługiwała się swoistym językiem – szyfrem. Pisała po polsku, bo było wolno, ale pewne wiadomości przemycała w taki sposób, że tylko ojciec mógł zrozumieć. Wiosną 1941 r. atmosfera AK zmieniała się z tygodnia na tydzień, że wszyscy oczekiwali nie wiedząc jednak dokładnie, co się stanie. Byliśmy w

najbardziej niebezpiecznym miejscu. W prostej linii parę kilometrów od Bugu i przestrzeń otwarta. Nie mieliśmy dokąd uciekać. Czekaliśmy więc na to, co się stanie.

22 czerwca pamiętnego roku nikt nie położył się spać. Sąsiedzi przenieśli się do rodzin, gdzie uważali, że będzie bezpieczniej. Pusto wokół i tylko my sami w naszym mieszkaniu na pierwszym piętrze, wgapieni w weneckie okno, podnieceni oczekiwaniem. Noc czuwania i zachwytu. Bezchmurne niebo zaczyna świtać. Coraz jest jaśniej, pierwszy brzask. Trzecia nad ranem. Nagle niebo zapełniło się płomienistymi kulami, które zakreślają parabolę i spadają na ziemię wołyńską wydając głuchy, mocny pomruk. Wybuchy już seryjne, najpierw coraz mocniejsze, potem jakby słabsze i z większej odległości. Patrzyliśmy na to zjawisko z takim niemym podziwem, że o strachu nikt z nas nie myślał. Widok wspaniały! Punkt obserwacyjny najlepszy z najlepszych. Trwało to cztery godziny.

Nie było odwetu. Sowieci zaskoczeni, a może celowo, puścili Niemców w głąb. A ci szli i szli bez oporu. Gdyby dali odwet, byłoby po nas.

Zrobiła się cisza, a mama siadła do pisania listu do ojca, do Oschatz używając takich słów:

...to, co miało być, już przeszło, dzisiaj w nocy. Jest siódma rano, spokój i wszystko dobrze...

Ten spokój był jednak pozorny i na krótko. Efektem niemieckiej inwazji na ZSRR był wielki niepokój i wzmożony ruch taborów wojskowych, które z Zamościa, przez Hrubieszów, dokładnie przed naszym oknem przesuwały się na wschód. Kolumny samochodów z wojskiem, czołgi, działa pancerne, kuchnie polowe i cały transport potrzebny wojsku. Moi bracia, jak to chłopcy, przyglądali się z zainteresowaniem, może nawet z podziwem. Tego jeszcze nie widzieli w żadnej encyklopedii i na żadnym znaczku pocztowym. Julek siedział ciągle w oknie i liczył. Od czasu do czasu wykrzykiwał: *naliczyłem sześćdziesiąt, ale one jeszcze jadą*. I jechały.

Nie było już granicy na Bugu. Ożyły kontakty ludności cywilnej z obu stron. Kwitł przede wszystkim handel wymienny. Na wygon, gdzie było dużo miejsca dla ciężarowych samochodów, przyjeżdżały zagrabione ze sklepów towary takie, jak kołdry, koce. Kupowała je ludność za pieniądze niemieckie, okupacyjne lub wymieniając za żywność i bimber.

Nazwa „wygon” pewnie wzięła się stąd, że część nieużytków pokryta zieloną trawą i chwastami m.in. ptasim rdestem i gęsiówką, służyła do wypasu niezliczonych stad gęsi należących

do właścicieli domków jednorodzinnych, rozsiadłych półkolem. Miało to typowo wiejski charakter, malowniczy i archaiczny. Niektóre domy kryła strzecha ze słomy, przed wejściami ogródki mieniły się barwnością różnych kwiatów. Słoneczniki i malwy dominowały wysokością i pięknie odbijały kolory na białym tle ścian. Ten zaciszny zakątek, zamienił się w grząskie, błotne targowisko.



Ela - moja siostra Elżbieta z Fabijańskich Świdzińska, nasz psychiczny filar podczas okupacji
Druga część Pobereżan nadawała się tylko do zjeżdżania na

sankach. Duże, lejowate, kacze doły, mogły być pozostałością po pierwszej wojnie światowej, lub wyrobiskami gliny. Dziwne to było ukształtowanie. Dzisiaj teren ten jest zabudowany. Od Zamościa jadąc widzi się po obu stronach ciągłą zabudowę długiej, kilkukilometrowej ulicy. Dom, w którym przyszło nam przetrwać okupację i pierwszy rok, stoi i ma się dobrze. Jest zadbane, balkon otrzymał dekoracyjną balustradę i dzięki niej dalej wyróżnia się urodą, zgrabnej, przedwojennej architektury.

Od początku okupacji ludność cywilna była w różny sposób zastraszana. Łapano zniemacka młodzież gimnazjalną, która nosiła obowiązujące przed wojną mundurki, a zimą płaszcze. Guziki u nich stały się powodem represji. Żandarmi prowadzili takiego chłopaka do punktu w urzędzie niemieckim, gdzie w brutalny sposób obcinano błyszczące guziki wraz z tkaniną, niszcząc w ten sposób jedyne okrycie. Spotkało to Witka. Byłam z nim wtedy i nie opuściłam biegnąc szybko za nim, eskortowanym przez dwóch Niemców. Szarpał się, więc go boleśnie przytrzymywali, jak boleśnie, świadczyły o tym pozostawione sińce. Po ceremonii obcięcia guzików – puścili. Ale ja już zdążyłam mamę zawiadomić i poszła po niego.

Dziewczęta nosiły granatowe berety ze znaczkami: książka i kaganek oświaty – odznaki noszone przez uczennice obowiązkowo. Na lewych rękawach mundurka dziewczęta i chłopcy nosili tarcze z numerem szkoły. Pole niebieskie

oznaczało - gimnazjum, pole czerwone - liceum. Te emblematy wyróżniały i identyfikowały uczniów pod kątem szkoły - nie miały, żadnej wymowy ani politycznej, ani patriotycznej. Ale okupantom tak przeszkadzały, że zdzierali je na ulicach, budząc lęk niewinnej młodzieży. Nikt nie wiedział, o co właściwie chodzi. Zapewne chodziło o zastraszanie i podporządkowanie ludności cywilnej. Szefem Gestapo był sadysta, powszechnie zwany Blondynkiem. Aresztowania, represje, znęcanie się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej okrutne spowodowały akcję partyzantów i likwidację tego okrutnika. Odwetem za karę były jeszcze większe aresztowania i znęcanie się nad zakładnikami.

Codziennie wywieszano listy, kilkunastu lub kilkudziesięciu osób rozstrzelanych, listy zakładników, którzy nigdy nie wrócili do rodzin, codziennie były jakieś obwieszczenia represjonujące ludność cywilną. Wreszcie w 1942 r. zaczął się pogrom ludności żydowskiej. W Hrubieszowie było bardzo dużo Żydów. W zgodzie żyły obok siebie trzy nacje wyznające inną religię. Katolicy mieli swój kościół parafialny, dawniej klasztorny pod wezwaniem św. Mikołaja, a na tej samej ulicy *vis -a- vis* prawosławni chodzili do pięknej cerkwi ufundowanej przez rząd carski w 1873 r. Żydzi wyznania mojżeszowego mieli swoją synagogę w centrum, niemal przy rynku. Mieszkali wszędzie, chyba tylko na przedmieściu Pobereżany ich nie było, gdyż ta część miała charakter swoisty, bardziej rolniczy niż miejski. Życie handlowe, oprócz ciągu sklepów na schodach, u wjazdu do Rynku (za

okupacji wielobranżowy, najelegantszy magazyn Gajzera) – skupiało się na placu targowym i w uliczce wąziutkiej z ciągiem jatek zwanych „sutki”. Właściwie mieściły się tam różne sklepiki i kolonialne i rybne.

Przypominały one handlowe dzielnice miast w południowych krajach Europy. Drzwi obok drzwi, żeliwne wzmocnione kutymi sztabami, zamknięte na kłódki. Nie miały witryn. Towar rozwieszano na hakach po otwarciu. Wylewał się na zewnątrz obfitością i różnorodnością. Można było kupić tam wszystko: od landrynek, lizaków, czekolady, korzeni, bakalii do koszyków, szczotek i wyrobów blacharskich.

Malowniczość tego zaułka niepowtarzalnego, jedyne w swoim rodzaju, uzupełniały postaci kupców żydowskich w czerwonych chałatach i myckach na rozwichrzonych włosach. Przeważnie byli to ludzie starsi. Kobiety – przekupki siedziały w innym miejscu, gdzie było kilka drewnianych straganów. Rozkładały tam worki pełne rozmaitych, kasz, grochu, fasoli, suszu owocowego, obok leżały warkocze cebuli i czosnku. Tę różnorodność płodów urodzajnej ziemi hrubieszowskiej uzupełniały ogromne słoje z ogórkami kiszonymi i... pijawkami. Zawsze mnie okropnie brzydziły. Obrazu tego nie zmieniła nawet zimowa pora roku, ponieważ na zimno była rada. Kupcowe handlowały na siedząco, pod spódnicą chowały żeliwne sagany pełne rozżarzonych węgla drzewnych, przynoszonych z piekarni i z takim „piecykiem”

wytrzymywały nawet kilkustopniowy mróz. Na głowach miały rude peruki, ręce chroniły rękawiczkami, które nie miały końców palców, żeby łatwiej było liczyć pieniądze.

Zapamiętałam także specyficzną woń, jakby swąd z węgielków mieszał się z zapachem śledzi w beczkach, zamorskich korzeni, rodzinnego makagigi i waniliowych karmelków. Dziwne, jak zapach może wtopić się w obraz i wtedy jedno z drugim jest już nierozłączne.

Kres temu folklorowi miasteczka położyli hitlerowcy najpierw tworząc getto, później dokonując zagłady ludności żydowskiej. Stało się to w 1942 roku. Wszystkim wyznawcom Mojżesza kazano się przenieść do dzielnicy zwanej Wójtostwo, która znajduje się po wschodniej stronie, za Huczwą. Opuścili więc swoje domy, według współcześnie wydanych opracowań (Grzegorz Rąkowski, Polska egzotyczna II, wyd. Pruszków 2000, s. 240), w maju i w czerwcu 1942 roku skupiono tam ok. 10 000 Żydów z całego powiatu. Wywożono ich potem do obozu zagłady w Sobiborze. Na hrubieszowskim kirkucie rozstrzelano ok. 500 osób.

Opustoszałe domy w Rynku i okolicy oddano miastu do zagospodarowania. W jednej z kamieniczek zorganizowano szkołę, jeżeli dobrze pamiętam, na cztery klasy na parterze. Tam uczyłam się do końca piątej klasy. Warunki były trudne, salki

małe, ciasne, ciemnawe i zimne. Na lekcje religii chodziliśmy do kaplicy grobowej przy szkolnym kościele św. Stanisława Kostki. Ziab i wilgoć wyciągały nas na cmentarz. O, jak dobrze było w promieniach słońca pogrzać się pod murem, bodaj przez chwilę i pochrupać prażony groch.

Pewnego dnia na skwerze przed kościołem, zniszczonym kompletnie, pojawiła się ogromna góra mebli, raczej gratów starych i zniszczonych, z pociętymi i wyprutymi materacami, z których wysypywało się końskie włosie, sprężyny i trawa morska. Prócz kanap, stołów, krzeseł, foteli leżały gary, sprzęt kuchenny i na samym szczycie tego stogu może przeznaczonego do podpalenia, znajdowała się beczka drewniana, dość duża. Wyglądała normalnie, jak te w sklepach po śledziach, ale od wewnątrz miała gęsto nabite gwoździe. Mówili, że służyła do spuszczenia krwi, aby przyrządzić koszerne jedzenie. Czy to prawda?

Codziennie patrzyliśmy na nią snując naturalnie różne wizje. Trzeba powiedzieć, że chociaż dzieci nie wiedziały co stało się z ludnością żydowską, bały się o swoje rodziny, o nauczycieli, o siebie. Lęk towarzyszył nam każdego dnia, przecież wieści były straszne. Ciągle ginęli ludzie.

Zimą 1943 r. Niemcy przeprowadzili wysiedlenia polskich wsi, na ich miejsce sprowadzając osadników niemieckich z różnych

państw europejskich. Działania tej akcji zostały zatrzymane dzięki ruchowi oporu, który w hrubieszowskim był bardzo silny.

Armia Krajowa od końca 1942 r. zaczęła przeprowadzać akcje bojowe w terenie. Niestety dla Polaków byli nacjonaści ukraińscy podjudzani przez Niemców. Na tych południowo-wschodnich terenach oni stali się wrogami. W 1943 r., gdy pojawiły się bandy UPA przybywające z Buga, nasiliły się mordy polskiej ludności. Przeciwwstawili się temu zbrojnie polscy partyzanci. Zaczęły się wzajemne akcje wyniszczające całe wsie, i polskie i ukraińskie. Apogeum tego nastąpiło w marcu 1944 r.

Z naszego okna widzieliśmy codziennie po kilka pożarów. Jasno robiło się w naszym mieszkaniu. Płonęły budynki mieszkalne, zabudowania gospodarcze, stodoły, plony, bydło i cały dobytek. Zabijano bestialsko kobiety i dzieci.

W kwietniu przywieziono Traczuka, polskiego gospodarza, naszego sąsiada, w którego domu bawiłam się często, bo miał córkę w moim wieku. Żona jego co niedzielę chodziła do kościoła na sumę. Czy był mróz czy słońce, wkładała czarne karakułowe futro i tak paradowała przez Pobereżany. Traczuka wraz z innymi gospodarzami wzięto na tak zwany „forszpan” czyli przymusowe roboty transportowe. Musiał stawiać się wyznaczonego dnia, o podanej godzinie i przepracować na rzecz okupanta ileś tam godzin, dniówkę. Zdarzało się to regularnie i

nie było niczym podejrzanym. Tak się stało i tym razem, ale po raz ostatni.

Pojechało ich nie wiem, kilkunastu, może mniej, jak zwykle na określone roboty. Nie znam okoliczności, ani szczegółów i nikt o tym dotąd nie napisał, więc zrelacjonuję, co wtedy mówiono i co widziałam. Zwęglony kadłub ciała ludzkiego, brązowy i przypominający kłodę drewna. Nie było rąk ani nóg, ani głowy. Zawinięty w brudną płachtę leżał na podłodze w kuchni. Traczukowa rozpoznała męża po łacie przy zajęciu spodni, którą sama niezbyt starannie przyszyła. Przyciśnięty paskiem skórzanym strzep ubrania stał się znakiem rozpoznania, identyfikacji. Człowiek bez głowy, nóg i rąk. Spalony w stodole w Masłomęczu. Warstwa ludzi, warstwa słomy i duża stodoła z drewna. Co za pochodnia! Co za głowa to wymyśliła - kto zbrodniarzem, kto katem?

Zginęli zwykli chłopci, rolnicy półmiejscy, półwiejscy. Pojechali do pracy z rozkazu okupanta, nie do walki. Nigdy nie słyszałam aby ktokolwiek później o tym mówił.

Ciśnie się jednak historyczne pytanie: ile było takich stodoł, ilu spalono Polaków?



Wioska Gotów w Masłomęczu, skansen

Masłomęcz w województwie hrubieszowskim stał się słynny, ze względu na odkrycia wykopaliskowe sprzed 25 lat. Odkryto tu osadę Gotów z II-IV w. n. e. N. Pojawili się oni 180 lat po Chrystusie i właśnie tu, nad Huczwą zbudowali potężną cywilizację. Zнали technikę powlekania metalu innym metalem, budowali piętrowe domy z kanalizacją, znali jedwab. Jedną z tajemnic Gotów jest dziwny rytuał pochówku, z wkładaniem do grobów niekompletnych ciał. Na odkrytym w Masłomęczu cmentarzysku, zdecydowaną większość ciał stanowiły kobiety i dzieci. Archeologowie określili tę pozbawioną męskiej populacji społeczność mianem - „Amazonki z Masłomęcza”.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

Historia w karetach zaklęta